

Meller przytomniak

Postawiłem kiedyś pytanie Krakowskim teatrom dlaczego dały się ubiec kierownictwu Teatru Dramatycznego w Warszawie, któremu przypadł zaszczyt wprowadzenia na afisz Stanisława Mroka. Zadaję dziś podobne retoryczne pytanie Katowicom w związku z prapremierą „Ucisty morderców” — nowej sztuki rutynowanego już śląskiego pisarza scenicznego Andrzeja Wydrzyńskiego — w tymże Teatrze Dramatycznym. I choć kierownictwo tego teatru stanowi piątka tęgich autorytetów (Kosiński, Meller, René, Świdorski i Puzyna), nie pogniwiają się chyba, że w tytule umieścili osobę, którą najbardziej podejrzewam o przytomniactwo. Mimo bowiem wiązanki krytycznych uwag, jaką już złożyli autorowi niektórzy z moich kolegów recenzentów — osmielę się powieścić, że i tak jest to bardzo chwalebne posunięcie repertuarowe.

Tym razem z chęcią przywdziałbym toż advocatus diaboli. Od naszych autorów dramatycznych wymaga się Bóg wie czego.

Czytam na przykład u Jaszcza, że Wydrzyński daleki jest w tej sztuce od swoich możliwości, a także poprzednich osiągnięć. Pozwolę sobie zapytać jakich? Wrażenie zależy od tła. Gdy Wydrzyński wchodził na arenę teatralną rozlewała się właśnie powódź miernoty wywołanej z niebytu przez smutnej pamięci festiwal polskich sztuk współczesnych. Konfrontacja grała na jego korzyść. Dziś mamy za sobą parę sezonów grania stosunkowo ciekawszych sztuk zarówno polskich jak obcych, a także retrospekcji teatralnych awangard od Witkacego do Gombrowicza i od Majakowskiego do Ionesco. Szafa już gra inaczej.

Proszę to wziąć pod uwagę i nie przypisywać autorowi obniżenia lotu. To kryteria nasze się zmieniły.

Jarecki w „Sztandarze Młodych”, Beylin w „Expresie Włocznym” wskazują niemal zgodnie, jak autor nie daje sobie rady z problemami moralno-społecznymi i obyczajowo-wychowawczymi. Ale pokażcie mi dramaturga, który tak bez lipy, wszystko wie, rozumie i prawidłowo ustawi? Gdy osiągnie tę wiedzę — na pewno przestanie pisać dramaty i tragedie, nawet buffo...

Zgadzam się z Karczewską, że istnieje jakaś zasadnicza pomyłka, gdy się chce usprawiedliwić występki złym przykładem lub nieudolnością wychowawczą. Ani Cham nie mógłby się wybronić widokiem Noego po jego zapoznaniu się z produktem winorośli, ani Kain tłumaczyć swej zbrodni grzesznością rodziców. Trudny dylemat pokoleń stawia sobie Karpowicz w „Studniach”, drwi zeń przekornie Galezyński w „Babci i wnuczku”.

Wydrzyński stara się drwić jak Galezyński, pozostawia jednak miejsce na sprawę serio jak Karpowicz. To jest właśnie to coś, co od siebie dodaje. Nie po wszystkich jego bohaterach przewiny spływają jak woda po psie. Ktoś za nie zapłaci. Rzeczywiste samobójstwo popełni młoda dziewczyna Alicja, grana ze zrozumieniem przez Elżbietę Czyżewską.

Nie jest to istota bynajmniej niewinna. Na złość rzekomemu ojcu Horacemu, granemu zabawnie przez Czesława Kallnowskiego, zachodzi w ciążę i to dwukrotnie, przy czym raz pozbywa się płodu, drugi raz wzdraga się przed spędzeniem go, po to chyba żeby dwa grzyby w baraszcu nie były całkiem identyczne, bo nie skrupuły moralne kierują czynami dzweczyny. Zgadzałem się, że Wydrzyński przesadził, za dużo „nawrzucał” do swej „tragedii buffo”. W dodatku obie ciąży są od tego samego dziekanika-rza Lucjana, który dla kontrastu za pierwszym razem boleje nad spędzeniem płodu, za drugim razem, gdy dowiedział się, że jest rzeczywistym ojcem także Alicji, przyjmuje raczej z ulgą jej samobójstwo, mimo że jednocześnie zginie zawiązek zupełnie niewinnego życia. Jest więc raczej eugenista niż moralista, co z umiarem podkreśla grający tę rolę Magórski.

Widzi to wszystko żona Horacego — Kornelia, która dla wygody i spokoju godzi się na wszystko, choć chętnie także by kogoś struliła: Gra ją Wanda Luczycka, naprawdę doskonale. Z dyskrecją zewnętrzną pokazuje otchłań współczesnej dulszczyzny, która pieni się bardziej powszechnie niż się sądzi i przy której ohyda drobnomieszcząńska i czasów Zapolskiej jest dziecienna nie tylko, nie tylko na

Meller

przytomniak

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 4)

scenach... Służąca Hanka nosi nawet to samo imię co bohaterka Zapolskiej, jest jej doskonałym negatywem, choć trochę papierowym w szczegółach, w ogólnej zasadzie trafny. To ona teraz jest despotką. „Państwo” są posłuszni wszystkim kaprysom kuchty, która góruje nad nimi siłą witalną i pewnością egzystencji. Ta postać absolutnie komediowa jest najszczęśliwiej obsadzona przez mistrzynię transformacji Barbarę Krafftównę, która zbiera najwięcej braw.

Zabawnie anegdotyczną postacią jest Robert (grany na zmianę przez Gołasa i Pokorę) chuligan, nieprawny syn Horacego, który po roku edukacji w rodzinie usatkwowanej przejmuje jej polor, lecz nawzajem zaraża otoczenie swoim argot.

Autor „Ucztę morderców” sporo podpatrzył, więcej napiętrzył, bo takie bywają prawa sceny i trudno mieć do niego pretensję, że nie wie kogo oskarżyć, kogo usprawiedliwić, względnie się myli. Przecież nie jest zadaniem sztuki nieomylność, byłoby to uzurpowanie sobie przez sztukę zadań megalomańskich. Do tragedii, nawet buffo, autor na pewno się nie dogrzebał. Bo na tragedię trzeba jeszcze jednej rzeczy — żeby było ofiary żal. Trudno zaś zdobyć się na żal po Alicji, która, jak mówi przysłowie, „przeziębła się na złość cioci”, a ściślej na złość (rzekomym zresztą) rodzicom, dość na siłę (w taksówce i w ciągu dziesięciu minut) zachodzi w ciążę z byle kabotynem. Buffonada sceniczna jednak wypaliła i było się z czego na sztuce pośmiać, zwłaszcza, że teatr — jak to czasem piszemy, „zrobił wszystko co mógł”.

Pozwolą jednak państwo, że na chwilę zatrzymam się nad tym frazesem. Cóż miałowicie teatr „mógł”, łącznie z reżyserką W. Laskowską i scenografką Z. Pietrusińską? Pokutuje przekonanie, jakobymy mieli niezwykle sprawny aparat teatralny wykonawczy i zawodną dramaturgię. Po wykładaniu „Wielkiego Bobby'ego” w Katowicach i teraz „Ucztę morderców” w Warszawie coraz bardziej skłaniam się ku pogładowi, że istnieje kongenialność, a w każdym razie współzależność tych zjawisk. Choćby dla przykładu — Wydrzyńskiemu można z łatwością zarzucić niejedną zbrodnię, ale na jego „Ucztę” zjawił się jeszcze jeden morderca, raczej morderczyni. Jak ją nazwać? Już wiem: „zasada dykcji nonszalanckiej”. To nieprawda, że nasi aktorzy nie umieją wymawiać wyraźnie. Oni się lubują, ćwiczą w zjadaniu spółgłosek, zniekształcaniu samogłosek, unicestwianiu znaków przestankowych. Tym razem tylko Krafftówna i Łuczycka mówiły tak, że było słyhać każde słowo. A szkoda, bo jednym z walorów sztuki były właśnie dowcipy słowne, powstałe z zestawienia mowy inteligentkiej i gwary chuligańskiej. Debiutantka Elżbieta Czyżewska nie dała się niestety zdystansować starszym w produkcji klusek w gębie.

JERZY ZAGÓRSKI